

STEPHEN
KING



BASTION

Wizja opustoszonego świata,
obraz apokalipsy.

– Sally...

Mruknięcie.

– Obudź się, Sally.

Głośniejsze mruknięcie:

– Zooostaw mnie!

Potrząsnął nią mocniej.

– Obudź się. Musisz się obudzić!

Charlie.

Głos Charliego. Wołał ją. Od jak dawna?

Wysunęła się z objęć snu.

Najpierw spojrzała na zegarek na stoliku nocnym: kwadrans po drugiej w nocy. Charliego nie powinno tu być – powinien być teraz w pracy, na nocnej zmianie. Potem przyjrzała mu się uważniej i coś w jego wyglądzie ją zaniepokoiło.

Jej mąż był śmiertelnie blady. Miał błędny wzrok. Oczy wychodziły mu z orbit. W jednej ręce trzymał kluczyki od samochodu, a drugą w dalszym ciągu ją tarmosił, mimo że miała otwarte oczy. Zupełnie jakby nie zauważył, że już się obudziła.

– Charlie, o co chodzi? Co się stało?

Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć. Jego jabłko Adama przesuwało się w górę i w dół, ale jedynym odgłosem, jaki rozlegał się wewnątrz niewielkiego służbowego bungalowu, było tykanie zegara.

– Pali się? – spytała.

To była jedyna rzecz, jaka przyszła jej na myśl – jedyna, która mogłaby doprowadzić go do takiego stanu. Wiedziała, że jego rodzice zginęli podczas pożaru domu.

– W pewnym sensie – odparł. – Ale tak naprawdę to coś o wiele gorszego. Musisz się ubrać, kochanie. Zabierz małą LaVon. Musimy

się stąd zrywać.

– Dlaczego? – spytała, wstając z łóżka. Ogarnął ją paniczny strach. Coś było nie w porządku.

– Gdzie? Powinniśmy wyjść na podwórze na tyłach domu?
– zapytała, chociaż nie przypuszczała, żeby Charliemu chodziło o wyjście na podwórze.

Jeszcze nigdy nie widziała swojego męża równie przerażonego. Wzięła głęboki oddech, jednak nie wyczuła dymu ani spalenizny.

– Sally, kochanie, o nic nie pytaj. Musimy się stąd wynieść. Wyjechać. Daleko stąd. Po prostu obudź małą i ubierz ją.

– Ale czy... czy mamy dostatecznie dużo czasu, żebym mogła spakować trochę rzeczy?

Jej słowa sprawiły, że znieruchomiał.

Po chwili przesunął drżącą dłonią po włosach i odparł:

– Nie wiem. Będę musiał sprawdzić kierunek wiatru.

Wyszedł, pozostawiając ją z tym dziwnym stwierdzeniem, które nic dla niej nie znaczyło. Była zziębnięta, przerażona i zdezorientowana, do tego bosa, i miała na sobie jedynie krótką koszulkę nocną.

Co sprawdzanie kierunku wiatru mogło mieć wspólnego z tym, czy zdąży spakować parę potrzebnych rzeczy? I co oznaczało określenie: „daleko”? Reno? Vegas? Salt Lake City? I...

Przyłożyła dłoń do szyi i wtedy przyszła jej do głowy całkiem nowa myśl.

Dezercja. Wyjazd w środku nocy oznaczał, że Charlie zamierzał zdezercerować. Samowolne oddalenie się.

Weszła do pokoiku dzieciennego i przez chwilę stała nieruchomo, niezdeterminowana, patrząc na śpiące dziecko otulone różowym kocykiem.

Wciąż jeszcze miała nadzieję, że to jedynie koszmarny sen, może tylko bardziej wyrazisty niż inne. Ale to minie, a ona obudzi się jak zwykle o siódmej rano, nakarmi małą i sama coś przekąsi, poogląda trochę program *Today*, a potem, kiedy Charlie wróci o ósmej z nocnej zmiany w północnej wieży Rezerwatu, usmaży mu jajecznicę. Za dwa tygodnie znów będzie chodził na dzienną zmianę i przestanie się dziwnie zachowywać, a kiedy ponownie zacznie spędzać noce u jej boku, nie będzie już miewała takich szalonych snów jak ten i...

– Pospiesz się! – syknął, pozbawiając ją resztek nadziei. – Mamy niewiele czasu. Tylko tyle, aby zabrać trochę najpotrzebniejszych rzeczy. Na miłość boską, kobieto, jeżeli ją kochasz – wskazał leżące w łóżeczku dziecko – ubierz ją szybko!

Kaszlnął nerwowo, zasłaniając usta dłonią, po czym zaczął wyrzucać rzeczy z szuflad komody i upychać je beładnie w dwóch starych walizkach.

Sally obudziła trzyletnią LaVon. Dziewczynka była zdziwiona i zaskoczona, że obudzono ją w środku nocy, i zaczęła płakać.

Ten płacz przeraził Sally. Przypomniały się jej inne takie chwile, kiedy mała LaVon, zazwyczaj bardzo spokojna, bez przerwy płakała. Przyczyny były różne – wysypka, ząbkowanie, krup, kolka. Strach zamienił się w gniew, gdy zobaczyła, że Charlie wpada do pokoju, niosąc jej bieliznę. Ramiączka biustonoszy unosiły się za nim jak wstęgi noworocznych serpentyn.

Wrzucił wszystko do jednej z walizek i zatrzasnął wieko. Rąbek najlepszej halki Sally wystawał na zewnątrz i mogła się założyć, że materiał został rozerwany.

– O co chodzi? – zapytała, a jej podniesiony głos sprawił, że dziecko, które jeszcze przed chwilą pochlipywało tylko cichutko, znowu się rozplakało. – Czyś ty oszalał? Charlie, wyślą za nami żołnierzy! Żołnierzy!

– Nie wyślą. Nie dzisiejszej nocy – odparł i pewność w jego głosie wprawiła ją w jeszcze większe zdenerwowanie. – Sę w tym, kochanie, że jeśli szybko się stąd nie wyniesiemy, w ogóle nie wydostaniemy się z bazy. Właściwie nie mam pojęcia, jak to się stało, że zdołałem opuścić wieżę. Chyba coś się gdzieś popieprzyło... – dodał i wybuchnął obłąkańczym śmiechem, który przestraszył ją bardziej niż wszystko, co zrobił do tej pory. – Dziecko już ubrane? – zapytał po chwili. – To dobrze. Wrzucić parę jej ubranek do drugiej walizki, a resztę zapakuj do niebieskiej torby podróżnej, która jest w szafie. Zrób to i wynośmy się stąd. Wydaje mi się, że mamy szansę. Dzięki Bogu wiatr wieje ze wschodu na zachód.

Ponownie kaszlnął, zasłaniając usta dłonią.

– Tatusiu! – zawołała mała LaVon, unosząc do góry rączki. – Chcę na konika, tatusiu! Na konika!

– Nie teraz – burknął Charlie i zniknął w kuchni.

Po chwili Sally usłyszała brzęk naczyń. Wybierał jej oszczędności z niebieskiej wazy stojącej na górnej półce. Jakies trzydzieści, czterdzieści dolarów, które zdołała odłożyć. Jej oszczędności. Oznaczało to, że sprawa była naprawdę poważna, cokolwiek to było. LaVon, której tatuś odmówił przejażdżki „na koniku” – choć przecież bardzo rzadko jej czeokolwiek odmawiał – ponownie zaczęła płakać.

Sally z trudem zdołała ją ubrać w cienką kurteczkę, a potem wrzuciła większość ciuszków małej do torby. Pomysł dokładania czeokolwiek do drugiej walizki wydawał się idiotyczny – prawdopodobnie po prostu by pękła. Musiała przydusić ją kolanem, aby zatrzasnąć zamki. Dziękowała Bogu, iż LaVon jest na tyle duża, że nie trzeba martwić się o pieluchy.

Charlie biegiem wrócił do sypialni. Po drodze wypchał pomietę banknoty jedno- i pięciodolarowe do przedniej kieszeni „suntanów”. Sally wzięła małą na ręce. LaVon była już na dobre obudzona i mogła iść sama, ale Sally chciała czuć ją w swoich ramionach. Pochyliła się i podniosła torbę podróżną.

– Dokąd idziemy, tatusiu? – spytała LaVon – Chce mi się spać...

– Będziesz mogła spać w samochodzie – odparł Charlie, biorąc bagaże.

Rąbek wystającej z walizki halki zatrzepotał gwałtownie. Oczy Charliego wciąż wydawały się mętne. W umyśle Sally zaczęła świtać pewna myśl, powoli przeradzająca się w pewność.

– Był jakiś wypadek? – wyszeptwała. – Jezus Maria, Józefie święty! Zdarzył się wypadek, prawda? Tam.

– Układałem właśnie pasjansa – zaczął Charlie. – W pewnym momencie podniosłem głowę i zobaczyłem, że cyfry zegara zamieniły się na czerwone. Włączyłem monitor i okazało się, że oni wszyscy... – urwał i spojrzał na małą, której oczy, mimo iż zaczerwienione od łez, pełne były zaciekawienia – ...że wszyscy tam na dole nie żyją – dodał ciszej. – Wszyscy oprócz jednego, może dwóch, ale do tej pory oni też już na pewno wyzionęli ducha.

– Co to znaczy „nie żyją”, tatusiu? – spytała LaVon.

– Nieważne, kochanie – powiedziała Sally. Miała wrażenie, jakby jej głos dochodził z głębi przepastnego kanionu.

Charlie nerwowo przełknął ślinę.

– Kiedy zapalają się czerwone cyfry, wszystko zostaje automatycznie zablokowane. Całym tym miejscem zarządza komputer, więc gdy tylko zobaczyłem, co jest na monitorze, natychmiast stamtąd wybiegłem. Bałem się, że drzwi przetną mnie na pół. Powinny zostać zamknięte w momencie, kiedy włączył się alarm... a nie wiem, w jakim momencie to nastąpiło. Ale zanim usłyszałem szcęk zamykanych automatycznie drzwi, byłem już na parkingu. Gdybym uniósł wzrok trzydzieści sekund później, prawdopodobnie siedziałbym teraz w pomieszczeniu kontrolnym wieży, uwięziony jak owad w butelce.

– Co to jest? Co się...

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko tyle, że to coś ich zabiło. Jeżeli zamierzają mnie załatwić, będą musieli mnie złapać. Fakt, dostaję dodatek za ryzykowną pracę, ale nie dość duży, żebym miał tu zostawać. Wiatr wieje na zachód, więc pojedziemy na wschód. Chodź, czas ruszać w drogę.

Sally, w dalszym ciągu na wpół śpiąc i mając wrażenie, że tkwi w środku jakiegoś upiornego koszmaru, wyszła na podjazd, na którym stał ich piętnastoletni chevy, spokojnie rdzewiejąc pośród pustynnej

kalifornijskiej nocy.

Charlie wrzucił walizki do bagażnika, a torbę podróżną położył na tylnym siedzeniu. Sally stała przez chwilę przy drzwiach od strony pasażera i trzymając dziecko w ramionach, spoglądała na bungalow, w którym spędzili ostatnie cztery lata.

Kiedy się tu wprowadzili, mała LaVon rosła wewnątrz jej ciała, a wszystkie przejażdżki „na koniku” były jeszcze przed nią.

– Chodź! – ponaglił ją Charlie. – Wsiadaj, kobieto!

Kiedy zrobiła, co kazał, wycofał wóz i snop światła z reflektorów chevy omiół ścianę ich domku. Refleksy w szybach wyglądały jak ślepia ogromnej drapieżnej bestii.

Pochylił się nad kierownicą. W świetle bijącym z deski rozdzielczej jego twarz wydawała się bardzo spięta i zmęczona.

– Jeżeli brama bazy jest zamknięta, spróbuję się przez nią przebić.

Sally poczuła, że miękną jej kolana.

Okazało się jednak, że tak desperackie rozwiązanie nie jest konieczne. Brama bazy była otwarta. Jeden ze strażników czytał jakieś czasopismo, a drugiego w ogóle nie było. Być może siedział w głównej kwaterze. Była to zewnętrzna część bazy – magazyn pojazdów wojskowych. Najwyraźniej żadnego z tych mężczyzn nie interesowało, co dzieje się w sercu kompleksu.

„Podniosłem głowę i zobaczyłem, że cyfry zegara zrobiły się czerwone”.

Zadrżała i położyła dłoń na nodze Charliego. Poklepał ją lekko po ręce i powiedział:

– Będzie dobrze, kochanie.

O świcie, przemierzając Nevadę, nadal podążali na wschód, a Charliego wciąż męczył silny kaszel.

ROZDZIAŁ 1

Należąca do Texaco stacja Hapscomba mieściła się przy drodze numer 93 na północ od Arnette, mieściny, w której „diabeł mówi dobranoc”, leżącej niecałe sto mil od Houston. Dziś wieczorem byli tam sami stali bywalcy, którzy popijali piwo, prowadzili leniwe pogawędki i patrzyli na muchy wlatujące do ogromnego neonu firmy.

Ponieważ była to stacja Billa Hapscomba wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem, mimo iż był kretynem. Oczekiwali by takiego samego poważania, gdyby chodziło o ich miejsce pracy. Ale wszyscy byli bezrobotni. W Arnette nastały ciężkie czasy. W 1980 roku miasto miało dwa zakłady przemysłowe – fabrykę produkującą wyroby papierowe i wytwórnię kalkulatorów. Teraz jednak fabrykę wyrobów papierowych zamknięto, a wytwórni kalkulatorów też nie wiodło się zbyt dobrze – okazało się, że dużo tańsze kalkulatory produkowano na Tajwanie, podobnie jak przenośne telewizory i radia tranzystorowe.

Norman Bruett i Tommy Wannamaker pracowali kiedyś w zakładzie wyrobów papierowych, ale teraz żyli z pomocy opieki społecznej, bo już od dawna nie przysługiwał im zasiłek dla bezrobotnych. Henry Carmichael i Stu Redman pracowali w wytwórni kalkulatorów, jednak rzadko przepracowywali więcej niż trzydzieści godzin tygodniowo. Victor Palfrey był na emeryturze i palił cuchnące skręty – tylko na nie mógł sobie teraz pozwolić.

Hap oparł dłonie na kolanach i pochylił się do przodu.

– Mówię wam, powinni olać całą tę inflację – oświadczył. – Palićho dług narodowy. Mamy prasy i papier. Wydrukowałyby się pięćdziesiąt milionów banknotów tysiąc dolarowych i puściło je w obieg.

Palfrey, który do 1984 roku był maszynistą, jako jedyny spośród obecnych miał dość ikry i szacunku wobec siebie, by wyrazić sprzeciw wobec tych idiotycznych stwierdzeń. Rolując w palcach kolejnego cuchnącego jak stare skarpety skręta, oznajmił:

– Tym sposobem nigdzie nie zajdziemy. Byłoby wtedy zupełnie jak w Richmond w dwóch ostatnich latach wojny secesyjnej. Kiedy miałeś ochotę na piernik, płaciłeś piekarzowi konfederackiego dolara, a on wycinał ci kawałek wielkości dolarówki. Forsa to tylko papier.

– Cóż, pewnie masz rację – mruknął z goryczą Hap. – Ale ja mam dług do spłacenia, a moi wierzyciele zaczynają być coraz bardziej drażliwi.

Stuart Redman, który prawdopodobnie był najbardziej cichym mężczyzną w Arnette, siedział na popękany plastikowym krześle z puszką pabsta w dłoni i wyglądał przez ogromne okno budynku stacji benzynowej.

Dobrze znał smak biedy. Dorastał w tym mieście. Był synem dentysty, ale jego ojciec zmarł, kiedy Stu miał siedem lat, pozostawiając żonę i troje dzieci.

Wkrótce matka dostała pracę w Red Ball Truck Stop na przedmieściach Arnette – Stu mógłby z tego miejsca zobaczyć budynek jej firmy, gdyby Red Ball nie spłonął w 1979 roku. Zarabiała dostatecznie dużo, by cała czwórka miała co jeść, ale nic poza tym. Mając dziewięć lat, Stu poszedł do pracy – najpierw do Roga Tuckera, właściciela Red Ball, gdzie po zajęciach szkolnych pomagał rozładowywać ciężarówki za trzydzieści pięć centów na godzinę, a potem do pobliskiego Braintree, gdzie musiał zawyżyć swój wiek, aby móc harować po dwadzieścia godzin tygodniowo.

Kiedy teraz słuchał, jak Hap i Vic Palfrey spierają się na temat pieniędzy i tajemniczego sposobu, w jaki wyparowały, przypomniał sobie pierwszy okres swojej pracy w rzeźni i dłonie krwawiące od niekończącego się przeciągania ciężkich wózków załadowanych skórami i wnętrznościami. Próbował zataić to przed matką, ale szybko się wszystkiego domyśliła. Popłakała trochę nad ich losem, choć nie należała do kobiet, które łatwo roniły łzy. Nie poprosiła go, aby rzucił pracę. Wiedziała, jak wygląda ich sytuacja. Była realistką.

Nigdy nie miał przyjaciół albo nie miał dla nich czasu. Dla niego istniały tylko szkoła i praca. Jego najmłodszy brat Dev zmarł na zapalenie płuc w tym samym roku, w którym Stu zaczął pracować w rzeźni. Nie otrząsnął się z tego do dziś. Bardzo kochał Deva, ale jego śmierć oznaczała, że będzie o jedną gębę mniej do wykarmienia.

W liceum odkrył futbol i to dodało jego matce otuchy, mimo że musiał zmniejszyć liczbę godzin pracy.

– Graj – powiedziała. – Jeżeli możesz w jakiś sposób się stąd wydostać, to właśnie dzięki futbolowi, Stuart. Graj! Pamiętaj o Eddiem Warfieldzie.

Eddie Warfield był lokalnym bohaterem. Pochodził z jeszcze

biedniejszej rodziny niż Stu, ale okrył się chwałą, grając jako quarterback w okręgowej licealnej drużynie futbolowej, po czym wyjechał do Teksasu na stypendium sportowe. Przez dziesięć lat grał w drużynie Green Bay Packers, głównie jako quarterback, ale kilkakrotnie stawał też na pozycji rozgrywającego. Teraz był właścicielem sieci barów szybkiej obsługi na zachodzie i południowym zachodzie, a w miasteczku stał się niemal legendą. W Arnette, kiedy ktoś mówił o sukcesie, miał na myśli Eddiego Warfielda.

Stu nie grał jako quarterback i nie był Warfieldem. Mimo to już w liceum doszedł do wniosku, że warto byłoby wywalczyć sportowe stypendium, a potem pojawiły się różne uczelniane programy i opiekun wydziałowy opowiedział mu o NDEA.

Później jego matka zachorowała i nie mogła już pracować. Rak. Dwa miesiące przed ukończeniem przez Stu liceum umarła, powierzając Stuartowi opiekę nad jego młodszym bratem Bryce'em.

Stu zrezygnował ze sportowego stypendium i podjął pracę w wytwórni kalkulatorów. Ale Bryce'owi się udało – odniósł sukces. Mieszkał teraz w Minnesocie, gdzie pracował dla IBM jako analityk systemów komputerowych. Nie pisywał często do brata, a ostatni raz widzieli się na pogrzebie żony Stu, która zmarła na tę samą chorobę, co jego matka – na raka.

Pomyślał, że być może Bryce również nosi jakiś krzyż... i że może przepędzić go poczucie winy wynikające z faktu, iż jego brat dalej żyje w dogorywającym teksaskim miasteczku, spędzając dni w fabryce kalkulatorów, a wieczory u Hapa albo w Indian Head, przy kuflu piwa marki Lone Star.

Małżeństwo było dla Stu najlepszym okresem, ale trwało jedynie osiemnaście miesięcy, a potem jego młoda żona zachorowała i umarła. Było to cztery lata temu. Od tej pory często myślał o opuszczeniu Arnette w poszukiwaniu czegoś lepszego, nie pozwalało mu na to jednak jego małomiasteczkowe myślenie, znajome miejsca i twarze.

Był powszechnie lubiany w Arnette, a Vic Palfrey nazwał go kiedyś nawet Starym Twardzielem.

Kiedy Vic i Hap zakończyli swoją dyskusję, jeszcze nie zapadł zmrok, jednak okolica tonęła już w głębokich cieniach. Teraz na szosie numer 93 nie było zbyt dużego ruchu, ale zobaczyli, że do stacji zbliża się jakiś samochód.

Pierwszy zauważył go Stu.

Auto wciąż jeszcze było dość daleko, ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucały słabe refleksy na jego chromowane części.

Stu miał doskonały wzrok, więc natychmiast rozpoznał markę – był to stary chevrolet, rocznik 75. Chevy, bez włączonych świateł, jadący

z prędkością nie większą niż piętnaście mil na godzinę, sunął ostrym zygakiem. Nikt oprócz Stu jeszcze go nie zauważył.

– Powiedzmy, że masz zastaw hipoteczny na tę stację – zaczął znowu Vic – i powiedzmy, że spłacasz go po pięćdziesiąt dolarów miesięcznie...

– Dużo więcej, stary. Dużo więcej.

– No dobra, ale załóżmy, że spłacasz miesięcznie po pięć dych. A teraz powiedzmy, że rząd poszedł ci na rękę i wydrukował dla ciebie całą ciężarówkę szmalu. Gdyby tak się stało, jestem pewny, że ci z banku natychmiast wyczuliby pismo nosem i zażądałoby od ciebie półtorej paczki. Oskubaliby cię jak amen w pacierzu. I wszystko byłoby po staremu.

– To fakt – przyznał Henry Carmichael.

Hap spojrzął na niego wyraźnie poirytowany. Tak się składało, że wiedział, iż Hank ma zwyczaj bez płacenia wyciągać z automatu puszki z colą, i co więcej, Hank wiedział, że on o tym wie. Toteż jeśli miał się opowiedzieć po którejkolwiek ze stron, powinien poprzeć właśnie jego.

– Niekoniecznie musi tak być – mruknął, czerpiąc ze skarbnicy swego dziewięcioklasowego wykształcenia, po czym zaczął wyjaśniać swój punkt widzenia.

Stu, który jako jedyny rozumiał powagę ich obecnej sytuacji, przestał go słuchać i patrzył, jak chevy sunie zakosami wzdłuż drogi. Podejrzewał, że jadąc w ten sposób, nie zajędzie zbyt daleko. Samochód zбочzył w lewo, przekraczając białą linię, a jego koła wzbily z pobocza tumany kurzu. Znow wyjechał na szosę, ale już po chwili o mało nie wpakował się do rowu. Zaraz potem, jakby kierowca obrał sobie za cel szyld stacji benzynowej, chevy potoczył się w jego stronę. Przypominał pocisk balistyczny, który wytracił niemal całą prędkość. Stu słyszał już rżenie silnika oraz jęk dogorywającego gaźnika i obluzowanych zaworów. Wóz ominął podjazd i z głośnym stukotem wjechał na krawężnik. Fluorescencyjne prety neonu nad dystrybutorami odbijały się w jego brudnej przedniej szybie, więc trudno było dostrzec, kto znajdował się wewnątrz. Mimo to Stu zauważył, jak ciało człowieka za kierownicą zakołysało się bezwładnie pod wpływem wstrząsu.

Nic nie wskazywało na to, aby wóz miał zwolnić – nadal niewzruszenie sunął naprzód z prędkością piętnastu mil na godzinę.

– Posłuchaj, mówię ci, że przy większej ilości pieniędzy znajdującej się w obiegu byłbyś... – zaczął Hap.

– Lepiej wyłącz dystrybutory – wtrącił Stu.

– Dystrybutory? Po co?

Norm Bruett odwrócił się, aby wyrzucić przez okno.

– Chryste Panie... – jęknął.

Stu wstał i pochylając się nad Tommym Wannamakerem i Hankiem Carmichaelem, wyłączył jednocześnie osiem przełączników – po cztery każdą ręką. Po chwili zobaczył, jak chevy wjeżdża na dystrybutory stojące na górnej wysepce i przewraca je.

Wjechał w nie powoli, jakby z premedytacją – ale i z pewnym dostojnością. Tommy Wannamaker następnego dnia w Indian Head zaklinał się, że ani razu, nawet na moment nie zapaliły się w nim światła stopu. Samochód po prostu jechał jak na paradzie Turnieju Róż. Podwozie ze zgrzytem przetoczyło się po cementowej wysepce, a kiedy chevy wjechał na nią kołami, wszyscy oprócz Stu zobaczyli, jak głowa kierowcy bezwładnie przechyliła się do przodu i uderza w przednią szybę, na której natychmiast pojawiła się siateczka pęknięć.

Samochód podskoczył jak kopnięty pies i ściał dystrybutor. Pompa pękła z trzaskiem i wszystko runęło, a spod dystrybutora zaczęła wyciekać wąska strużka benzyny. Wąż spadł z zaczepu i leżał teraz na ziemi, błyszcząc w świetle neonu. Wszyscy zauważyli iskry tryskające spod szorującej po cemencie rury wydechowej samochodu. Hap, który widział eksplozję stacji benzynowej w Meksyku, instynktownie przymknął powieki, spodziewając się lada moment wybuchu i potwornej, osłepiającej kuli ognia. Zamiast tego jednak tył chevy okrecił się wokół własnej osi i zjechał z cementowej wysepki, a jego przód rąbnął w dystrybutor benzyny niskoołowiowej i przewrócił go na beton przy wtórze głuchego „ba-bam!”. Samochód powoli zakończył obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, ponownie uderzając w wysepkę – tym razem bokiem. Tył samochodu wjechał na podwyższenie, ścinając stojący tam dystrybutor ze zwykłą benzyną, a potem chevy zatrzymał się, ciągnąc za sobą przerdzewiałą rurę wydechową. Wóz zniszczył wszystkie trzy dystrybutory na znajdującej się najbliższej autostrady wysepce. Silnik krztusił się jeszcze przez kilka sekund, po czym umilkł.

Zapadła cisza.

– Rany koguta... – jęknął Tommy Wannamaker. – Czy on wybuchnie?

– Gdyby miał wybuchnąć, już by to zrobił – mruknął Hap.

Wstając, uderzył ramieniem w mapę układankę i jej części, między innymi Teksas, Nowy Meksyk i Arizona, rozsypały się na wszystkie strony. W głębi duszy cieszył się z tego, co się stało. Dystrybutory były ubezpieczone, a polisy splecone. Mary zawsze tego pilnowała.

– Facet musiał być niezłe naprany – stwierdził Norm.

– Widziałem jego tylne światła! – zawołał Tommy piskliwym,

pełnym podniecenia głosem. – Ani razu nie błysnęły! Rany koguta! Gdyby pruł osiemdziesiątką, już byśmy nie żyli.

Pospiesznie wyszli z biura – Hap pierwszy, Stu ostatni. Dotarli do samochodu jednocześnie. Czuli woń benzyny i słyszeli powolne tykanie stygnącego silnika. Hap otworzył boczne drzwiczki samochodu i mężczyzna siedzący za kierownicą wypadł na zewnątrz jak worek ze starym praniem.

– Niech to szlag... – wymamrotał Norm Bruett.

Odwrócił się, zacisnął dłonie na swoim obfitym kądunie i zwymiotował. Mdłości nie wywołał mężczyzna, który wypadł z samochodu (Hap złapał go, zanim zdążył osunąć się na chodnik), ale ohydny fetor bijący z wnętrza wozu – zapach krwi, smród fekaliów, wymiocin i rozkładu. Był to upiorny odór choroby i śmierci.

Hap chwycił kierowcę pod pachy i wyciągnął go z wozu. Tommy złapał mężczyznę za nogi i obaj z Hapem przenieśli bezwładne ciało do biura. W świetle neonu ich twarze miały barwę sera i były przepelnione obrzydzeniem. Hap zapomniał już o pieniądzach z ubezpieczenia. W pewnym momencie odwrócił się, zakrywając ręką usta, poczłapał na północny kraniec stacji benzynowej i zwymiotował całą kolację.

Vic i Stu zajrzeli do wnętrza samochodu i wymienili spojrzenia. Po stronie pasażera siedziała młoda kobieta. Miała wysoko zadartą sukienkę odsłaniającą nagie uda. Opierało się o nią mniej więcej trzyletnie dziecko trzymające ją za rękę – chłopiec lub dziewczynka. Oboje byli martwi. Ich szyje napuchły jak dętki, a twarze nabrały fioletowoczarnej barwy, jakby były pokryte sińcami. Vic powiedział później, że przypominali graczy w baseball, którzy smarują sobie sadzą grube kreski pod oczami, żeby nie oślepiało ich światło. Niewidzące oczy kobiety i dziecka zdawały się wychodzić z orbit, a z ich nosów wyciekł gęsty śluz, który już zakrzepł. Wokół nich z brzęczeniem krążyły muchy – wlatywały do otwartych ust i zaraz z nich wylatywały.

Stu był na wojnie, ale nigdy nie widział czegoś równie okropnego. Nie mógł odwrócić spojrzenia od splecionych rąk kobiety i dziecka.

W końcu cofnęły się od samochodu i wrócili do budynku stacji. Widzieli, jak Hap mówi coś do słuchawki telefonu. Norm szedł nieco z tyłu za nimi i od czasu do czasu spoglądał przez ramię na chevroleta. Boczne drzwiczki samochodu były otwarte, a z lusterka wstecznego zwisała para dziecięcych buczków. Był to bardzo smutny widok. Hank stał przy drzwiach stacji, ocierając usta brudną chusteczką.

– Jezu, Stu... – wymamrotał.

Hap odwiesił słuchawkę telefonu. Kierowca chevroleta leżał na podłodze biura.

– Karetka przyjedzie tu za dziesięć minut. Czy jesteście pewni, że oni...

Wskazał kciukiem samochód.

– Nie żyją – odparł Vic. Jego pokryta zmarszczkami twarz miała bladożółty odcień. Rozsypywał po całej podłodze tytoń, jakby próbował zrobić jeden ze swoich obrzydliwych, cuchnących skrętów. – To dwoje najbardziej martwych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałem.

Spojrzał na Stu, który pokiwał głową, włożył ręce do kieszeni i przymknął oczy.

Leżący na podłodze człowiek jęknął głośno i wszyscy natychmiast spojrzeli na niego. Kiedy się zorientowali, że mężczyzna próbuje coś powiedzieć, Hap ukląkł przy nim. W końcu ta stacja należała do niego. Najwyraźniej to samo, co uśmierciło kobietę i dziecko w samochodzie, dosięgło również tego człowieka. Ciekło mu z nosa, a gdy oddychał, z jego gardła wydobywał się głośny świst. Pod dolnymi powiekami widać było obrzmienie, jeszcze nie czarne, ale już fioletowe. Szyja sprawiała wrażenie zbyt grubej i napuchniętej i wydawało się, że ma nie jeden, ale trzy podbródki. Musiał mieć wysoką gorączkę, bo kiedy się do niego podeszło, odnosiło się wrażenie, jakby się stało przy rozżarzonym ruszcie.

– Pies... – wymamrotał. – Wypuściłeś go?

Hap potrząsnął nim delikatnie.

– Wezwałem karetkę – powiedział. – Wyjdzie pan z tego.

– Cyfry zegara zamieniły się z zielonych na czerwone – dodał mężczyzna i zaczął kasłać.

Kaszał raz po raz, a z jego ust pryskały długie, ciągnące się pasma gęstej flegmy i śliny.

Hap gwałtownie odchylił się do tyłu.

– Przekrećmy go na bok – zaproponował Vic – bo się jeszcze udławi.

Jednak zanim zdążyli to uczynić, mężczyzna przestał kasłać. Jego oddech znów stał się nierówny i świszczący. Zamrugał powoli powiekami i powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go mężczyzn.

– Gdzie ja... jestem?

– W Arnette – odparł Hap. – Na stacji benzynowej Billa Hapscomba. Rozwalił pan kilka moich dystrybutorów – dodał, po czym dorzucił pośpiesznie: – Ale były ubezpieczone.

Mężczyzna usiłował usiąść. Aby się podnieść, musiał położyć dłoń na ramieniu Hapa.

– Moja żona... moja mała córeczka...

– Nic im nie jest – powiedział Hap, próbując się uśmiechnąć.

– Wygląda na to, że jestem poważnie chory – stwierdził mężczyzna. Kiedy oddychał, z jego ust wydobywał się ochryply, jęklivy charkot.

– One też były chore. To trwało od dwóch dni. Od Salt Lake City.
– Przymknął na chwilę powieki. – Zachorowaliśmy... więc chyba nie byliśmy dość szybcy...

Z oddali dochodził jęk syreny karetki.

Chory ponownie otworzył oczy i zaczął się podnosić. Pot ściekał mu po twarzy. Zacisnął dłoń na ramieniu Hapa.

– Czy Sally i małej LaVon nic nie jest? – zapytał.

Z ust przysnęły mu kropelki śliny i Hap poczuł buchającą od niego gorączkę. Był chory, najwyraźniej mającżył i okropnie cuchnął. Ten smród przypominał Hapowi woń starego koca, którym przykryte było psie posłanie.

– Nic im nie jest – powtórzył spokojnie, choć może nieco zbyt szybko. – Proszę, niech się pan położy i leży spokojnie...

Mężczyzna znowu położył się na ziemi. Jego oddech był teraz jeszcze bardziej nierówny. Hap i Hank pomogli przetoczyć go na bok i wydawało się, że przyniosło mu to pewną ulgę.

– Aż do zeszłego wieczoru czułem się całkiem nieźle – powiedział.

– Kaszlałem, ale nic poza tym. Dopiero w nocy mi się pogorszyło. Obudziłem się i było ze mną bardzo źle. Nie zmylił się stamtąd dostatecznie szybko. Czy z małą LaVon wszystko w porządku?

Jego następne słowa zamieniły się w bełkot, którego nie dało się zrozumieć. Syrena karetki zawodziła jękliwie.

Stu podszedł do okna. Pozostali klęczeli wokół chorego.

– Co on złapał, jak myślisz, Vic? – zapytał Hap.

Vic pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Może coś zjedli – podsunął Norm Bruett. – Wóz ma tablice z Kalifornii, więc musieli stołować się w różnych przydrożnych barach. Może zjedli nieświeżego hamburgera. To się zdarza.

Karetka, ominąwszy szerokim łukiem rozbitego chevy, zatrzymała się pomiędzy nim a drzwiami stacji benzynowej. Czerwone światelko koguta na dachu kręciło się w kółko jak oszalałe. Było już całkiem ciemno.

– Pomóżcie mi, to was stąd wyciągnę! – krzyknął nagle mężczyzna leżący na podłodze i zaraz potem znowu umilkł.

– Zatrucie pokarmowe... – mruknął Vic. – Tak, to całkiem możliwe. Mam nadzieję, że tylko o to chodzi, bo...

– Bo co? – zapytał Hank.

– Bo jeśli nie, to mogliśmy coś od niego złapać – odparł Vic.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku widziałem epidemię cholery w pobliżu Nogales i wyglądało to bardzo podobnie.

Do biura weszło trzech ludzi z noszami.

– Hap – zaczął jeden z nich – masz szczęście, że uratowałeś swój pieprzony tyłek. Gdyby tamten samochód wybuchł, byłibyście teraz na łonie Abrahama. To ten facet?

Rozstąpili się, żeby ich przepuścić. Byli to Billy Verecker, Monty Sullivan i Carlos Ortega – wszyscy się tu dobrze znali.

– W samochodzie jest jeszcze dwójka – powiedział Hap, odciągając Monty’ego na bok. – Kobieta i mała dziewczynka. Obie nie żyją.

– O kurde! Jesteś pewny?

– Owszem, ale ten facet o tym nie wie. Zabierzecie go do Braintree?

– Chyba tak – odparł Monty. – Ale co mamy zrobić z tymi dwiema w wozie?

– Stu zawiadomi gliny. Mogę pojechać z tobą?

– Jasne, stary.

Położyli mężczyznę na noszach i kiedy go wynieśli, Hap podszedł do Stu.

– Jadę z tym gościem do Braintree. Zadzwońisz na posterunek?

– Nie ma sprawy.

– Zadzwoń też do Mary. Powiedz jej, co się stało.

– W porządku.

Hap poszedł do ambulansu i wsiadł do środka. Billy Verecker zatrzasnął za nim drzwiczki, a potem zawołał swoich kolegów stojących przy rozbitym samochodzie.

Parę minut później ambulans ruszył przy wtórze jękliwego zawodzenia syreny. Obracający się na dachu samochodu kogut rzucał krwawe refleksy na asfaltowy podjazd.

Stu podszedł do automatu i wrzucił do niego ćwierćdolarówkę.

. . .

Mężczyzna z chevroleta dwadzieścia mil przed szpitalem wydał z siebie ostatnie bulgoczące tchnienie, zakrztusił się i skonał. Hap wyjął z kieszeni spodni zmarłego portfel i przejrzał jego zawartość. Było w nim siedemnaście dolarów w gotówce. Według prawa jazdy nazywał się Charles D. Champion. Hap znalazł również jego legitymację wojskową i obłożone w plastik zdjęcia żony i córeczki. Nie chciał oglądać tych zdjęć.

Włożył portfel z powrotem do kieszeni spodni zmarłego i powiedział Carlosowi, że może wyłączyć syrenę.

Było dziesięć po dziewiątej.

ROZDZIAŁ 2

Na plaży miejskiej w Ogunquit w stanie Maine znajdowało się długie kamienne moło obmywane z obu stron przez fale Atlantyku. Kiedy Frannie zatrzymała samochód na parking, dostrzegła Jessa siedzącego na samym jego końcu, niewyraźną sylwetkę skąpaną w promieniach popołudniowego słońca. Wysoko nad nim krążyły głośno skrzeczące mewy – obrazek Nowej Anglii namalowany przez samo życie – i Frannie była przekonana, że żaden z ptaków go nie zepsuje, brudząc guanem błękitną batystową koszulę Jessa Ridera.

W końcu był praktykującym poetą.

Wiedziała, że to on, bo jego rower stał przymocowany do metalowego ogrodzenia za budką dozorczy parkingu.

Gus, łysiejący jowialny grubasek, wyszedł jej na spotkanie. Opłata dla gości wynosiła dolara od samochodu, ale Gus wiedział, że Frannie jest tutejsza, nie musiał nawet patrzeć na nalepkę z napisem REZYDENT przyklejoną w rogu na szybie jej volvo.

Przychodziła tu bardzo często.

Pewnie, przecież zaszłam w ciążę właśnie tu, na plaży, pomyślała. Mały człowieczku, zostałeś poczęty na wybrzeżu Maine, dwadzieścia jardów od falochronu.

Gus uniósł dłoń w geście powitania.

– Pani chłopak jest na końcu mola, panno Goldsmith.

– Dzięki, Gus. Jak interesy? – zapytała i uśmiechając się, wskazała parking. Stały tam ze dwa tuziny samochodów, z których większość miała niebiesko-białe nalepki z napisem REZYDENT.

– Dopiero siedemnasty czerwca i jeszcze nie ma zbyt wielkiego ruchu – odparł Gus. – Ale za jakieś dwa tygodnie na pewno podreperujemy miejską kasę.

– Oczywiście... jeżeli nie zgarniesz wszystkiego dla siebie.

Roześmiał się i wrócił do swojej budki.

Frannie oparła się jedną ręką o nagrzaną metal samochodu, zdjęła trampki i założyła sandały. Była wysoką dziewczyną o kasztanowych włosach sięgających do połowy pleców i wspaniałej figurze. Miała na sobie bluzkę piaskowego koloru. Jej długie nogi przyciągały spojrzenia chłopaków. „Prima sort – mówili o nich. – Spójrzcie, jaka lala: ma nogi aż do samej ziemi”. Miss college’u 1990.

Roześmiała się w duchu, ale jej śmiech miał w sobie nutę goryczy. „Zachowujesz się, jakby to było ważne dla całego świata” – powiedziała do siebie. Rozdział szósty: Hester Prynne przynosi wielbnemu Dinnesdale wiadomość o przybyciu Pearl. Tyle że on wcale nie był Dinnesdałem. Nazywał się Jess Rider i miał dwadzieścia lat, o rok mniej od naszej bohaterki, małej Fran. Był studentem college’u, praktykującym poetą. Wystarczyło spojrzeć na jego nieskazitelną błękitną koszulę.

Zatrzymała się na skraju plaży, czując gorący piasek przez podeszwy sandałów. Postać na dalekim końcu mola w dalszym ciągu ciskała do wody kamyki. Myśl, która przyszła jej do głowy, była zabawna i jednocześnie lekko zatrwazająca: „On dobrze wie, jak wygląda, siedząc tam na końcu mola... Jak Lord Byron, samotny, ale nieugięty. Siedzi i patrzy na morze, które gdzieś tam daleko obmywa brzegi Anglii. Wygnaniec, który już nigdy...”.

Do diabła, co ona najlepszego robi?

Młody mężczyzna, którego – jak sądziła – darzyła miłością, siedzi nieopodal, a ona szydzi z niego za jego plecami.

Zaczęła iść wzdłuż mola, zgrabnie przestępując wystające kamienie i ziejące pomiędzy nimi szczeliny. Było to stare molo niegdyś stanowiące część falochronu. Teraz większość łodzi cumowała przy południowym brzegu miasta, gdzie znajdowały się trzy przystanie i siedem motelików, w których każdego lata pełno było gości.

Szła powoli, próbując odegnąć myśl, że przez tych jedenaście dni, odkąd dowiedziała się, iż jest „troszkę w ciąży” (jak to określiła Amy Lauder), mogła się odkochać. No cóż, przecież to właśnie on sprawił, że tak się stało, czyż nie?

Ale nie tylko on – była tego pewna, brała przecież pigułki. Zdobyła je w bardzo prosty sposób. Poszła do kliniki w miasteczku akademickim, powiedziała lekarzowi, że ma bolesne miesiączki i robią się jej na skórze wypryski, a doktorzek przepisał jej wszystko, czego potrzebowała. Dorzucił też za darmochę zapas na cały miesiąc.

Ponownie się zatrzymała – była już przy końcu mola – po jej prawej i lewej stronie przesunęły się grzywiaste fale ciągnące w stronę plaży. Nagle uświadomiła sobie, że lekarze z kliniki musieli słyszeć historyjki o bolesnych miesiączkach i pryszczach na twarzy tak samo często jak

aptekarze stwierdzenie: „Kupuję te kondomy dla mojego brata”. Równie dobrze mogłaby po prostu powiedzieć: „Daj mi pigułkę, bo będę się pieprzyć”.

Dlaczego wciąż jest taka nieśmiała? Spojrzała na plecy Jessa i westchnęła. Znów ruszyła przed siebie. W każdym razie pigułka zawiiodła. Ktoś w wydziale kontroli jakości w starej dobrej fabryce Ovril zaniedbał swoje obowiązki. Albo może nie wzięła pigułki, bo zapomniała.

Podeszła bezszelestnie do chłopaka i położyła mu obie dłonie na ramionach.

Jess, który trzymał w lewej ręce kamyki, a prawą ciskał je w fale, krzyknął głośno i gwałtownie poderwał się na nogi, rozsypując kamyki. Wpadł na Fran i popchnął ją tak mocno, że omal nie zrzucił jej z mola. Niewiele brakowało, a sam też by wpadł do wody.

Cofnęła się o krok, przykładając obie dłonie do ust, a on, rozwścieczony, odwrócił się w jej stronę. Był dobrze zbudowanym młodym mężczyzną o czarnych włosach, noszącym okulary w złotych oprawkach. Jego przystojna twarz o regularnych rysach – ku wielkiemu niezadowoleniu Jessa – nigdy nie potrafiła należycie oddać głębi jego wewnętrznych odczuć.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłaś! – krzyknął.

– Och, Jess... – zachichotała. – Przepraszam, ale to było bardzo zabawne. Naprawdę.

– Mało brakowało, a oboje wpadlibyśmy do wody – warknął i postąpił krok w jej stronę.

Frannie cofnęła się, potknęła o kamień i wylądowała ciężko na tyłku. Przy upadku przygryzła sobie język, poczuła ostry ból i jej chichot ucichł jak ucięty nożem.

Nagła cisza, jaka zapadła – „wyłączyłeś mnie, jakbym była radiem, przekreśliłeś gałkę i już” – wydała jej się również niesamowicie zabawna i znów zaczęła chichotać, choć krwawił jej język, a z kącików oczu płynęły łzy wywołane bólem.

Przestraszony Jess ukląkł obok niej.

– Nic ci nie jest, Frannie?

Jednak go kocham, pomyślała i poczuła pewną ulgę.

– Ucierpiała tylko moja duma – odparła i pozwoliła, by pomógł jej wstać. – Ale przygryzłam sobie język. Widzisz?

Wysunęła język, spodziewając się, że chłopak uśmiechnie się wreszcie, ale on tylko jeszcze bardziej się zasepił.

– Jezu, Fran... leci ci krew.

Wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę, przyjrzał się jej z powątpiewaniem i schował ją.